

# Nagle trup, Marta Kisiel

## Prolog

Redaktor Chojnowski spoczywał na sedesie w pozie niedbalej, będąc wyraźnie pod wpływem grawitacji. Głowa opadła mu ciężko na pierś, okulary zatrzymały się tuż przed czubkiem nosa, a wystająca spod rozpiętej wiatrówki koszula w radosne wzory wydęła na brzuchu. Pewnie zsunąłby się całkiem na podłogę, gdyby nie jego nogi w szarych bermudach, które zatrzymały się jednym kolaniem na załomie ściany, drugim zaś na umywalce, działając jak blokada. W rezultacie mężczyzna na pierwszy rzut oka przypominał skomplikowane skrzyżowanie żaby z ludzkim paragrafem. Jedyne stopy w mokasynach z czerwonego zamszu prezentowały się stylowo – bez skarpetek, jak należy. Lecz i ten przebłysk męskiej elegancji bladł nieco wobec faktu, że redaktor Chojnowski, choć w pozie swobodnej, na sedesie prezentował się przede wszystkim niezaprzeczalnie sztywno.

Przedstawiciele wydawnictwa w osobach zastygłego w drzwiach praktykanta Olafka oraz wyzierającej mu spod pachy Kasi przyglądali się sparagrafowanym zwłokom w głębokim oniemieniu.

– No, jak to mówią – wymamrotała w końcu Kasia – kiedy deadline wejdzie zbyt mocno...

## Rozdział 1

Brama wjazdowa była wciśnięta między nadgryzione zębem czasu kamienice, które ciągnęły się wzdłuż całej ulicy, i nie prezentowała się zbyt zachęcająco. Prawdę mówiąc, robiła wrażenie wręcz zniechęcające. Była

głęboka, ciemna i trochę za wąska, żeby dało się w nią wjechać swobodnie czymkolwiek szerszym od malucha.

Starszy posterunkowy Michał Mogiła zatrzymał służbowy samochód w połowie skrętu w prawo i czekając z włączonym migaczem, aż chodnik przed nim opustoszeje, spojrzał pytająco na swojego pasażera. Ten w odpowiedzi pokiwał głową, że owszem, to właśnie tutaj. Tak mu podpowiadała dobra znajomość miejscowej topografii oraz jeszcze lepsza nawigacja w telefonie.

Przepuściwszy ostatniego pieszego, który w ten dość wczesny sierpniowy poranek kroczył przez świat krokiem ewidentnie wczorajszym, Michał ruszył pomalutku.

– Zmieścisz się, zmieścisz – zapewnił go pasażer, kiedy Mogiła przeciskał samochód centymetr za centymetrem między odrapanymi murami, modląc się w intencji służbowych lusterek.

– A jak nie?

– Będzie słyhać.

Po drugiej stronie wąska gardziel otwierała się na wewnętrzne podwórkó słuzące za chaotyczny parking. Pośrodku, w cieniu dwóch dorodnych drzew, pyszniła się bura bryła murowanego śmietnika z zadaszaniem. Stopień zakratowania okien na wysokości parteru oraz upstrzenia elewacji tabliczkami w różnych kolorach i kształtach wyraźnie zdradzał, że w budynkach po prawej mieściły się lokale mieszkalne, zaś w tych po lewej i na wprost lokale usługowe i warsztaty. Sam przejazd prowadził dalej prosto, do kolejnej bramy. Kawalek przed nią, dokładnie pod wymalowanym wielkimi wołami napisem NIE PARKOWAĆ, jeden za drugim stały dwa radiowozy. Mogiła zatrzymał się zaraz za nimi.

– Z rejonowej ktoś już jedzie? – rzucił do swojego pasażera.

– No. Podobno Buli.

– Buli? – powtórzył Michał, szczerze zdziwiony.

– Uhm.

O ile Michał Mogiła kojarzył, prokurator Buliński, zwany pieśczośliwie Bulim, ciałem, duchem, doświadczeniem i dyspozycją zawodową co prawda wciąż przynależał do prokuratury rejonowej, ale tylko do połowy sierpnia. Od następnego poniedziałku miał kontynuować karierę w prokuraturze okręgowej, oddalonej stąd o prawie sto kilometrów. Podobno zdążył już nawet przewieźć do nowego mieszkania wszystkie swoje rzeczy; w starym zostały mu tylko ciuchy na zmianę, szczoteczka do zębów i kubek. Jeżeli ta sprawa się przeciągnie, Bulego czeka sporo jeżdżenia. Bulego... albo ich.

Wysiedli z samochodu i rozejrzeli się po podwórku. Żadnych gapiów, a to świetnie. Cisza i dyskrecja z zasady dobrze robiły śledztwom.

– Weź ogarnij te tamte – rzucił Pozgonny i ruszył w stronę pilnowanych przez mundurowego drzwi wejściowych z białego PCV.

Michał Mogiła skinął głową. Przez te ostatnie dwa lata zdążył się trochę przyzwyczaić, poza tym od początku nie miał żadnych złudzeń. Nie dostał tej roboty ani za wybitną służbę, ani za piękne oczy, ani nawet za nazwisko. Stałby teraz z suszarką za jakimś krzakiem i suszył ku chwale lokalnego budżetu, jak na żółtodzioba przystało, gdyby czystym zrządzeniem losu nie był jedynym policjantem w powiecie, którego starszy sierżant Jerzy Pozgonny nie przyprawiał o ciężką nerwicę. Mało tego. Mogiła nie tylko znosił lakoniczność wyższego szarżę ze stoickim spokojem, ale też chwycił w lot rzucane półgębkiem komunikaty, wydobywając z nich pokłady ukrytych treści.

Jak teraz. „Te tamte” oznaczało świadków w liczbie trzech, z którymi należało się w miarę szybko rozmówić. Siedzieli na krawężniku w cieniu drzewa, z dyskretną asystą mundurowego, i w trybie przyspieszonym mierzyli się z koncepcją śmiertelności rodzaju ludzkiego, którą postanowiła im zaprezentować rzeczywistość. I to podobno z bliska.

Mogła skinieniem głowy najpierw poprosił mundurowego na bok.

– Więc tak – zaczął mundurowy, posiłkując się notatkami. – Grzymska Katarzyna, Hanzel Olaf i Krawczyk Arkadiusz. Pracują w tej tutaj kamienicy, ulica Górnicza trzydzieści pięć a, w wydawnictwie... Ja... Mas. JaMas. Dziwna nazwa.

– Który to Krawczyk, a który Hanzel?

– Krawczyk to ten większy. Dużo większy.

– Zauważyłem. I kto znalazł zwłoki?

– Grzymska i ten mniejszy. Hanzel.

– I te zwłoki znaleźli w... – Michał Mogiła dobrze pamiętał treść zgłoszenia, które otrzymali kwadrans przed ósmą rano, wołał się jednak upewnić.

– W toalecie pracowniczej – dopowiedział mundurowy.

Tak, to by się zgadzało. No, mniej więcej. „Zwłoki w toalecie” brzmiały bardziej neutralnie niż zgłoszony dyspozytorowi rozhisteryzowanym głosem „trup na kiblu”.

– Znamy już może tożsamość? Tych zwłok?

– Świadców byli zgodni, zwłoki zostały zidentyfikowane jako niejaki Chojnowski. Paweł bądź... Piotr.

No, w kwestii imienia zdania są podzielone – zakończył mundurowy i zamknął notatnik.